

G R Y F



ROK: 8

LIPIEC—WRZESIEŃ

NR: 4

W. Budzysz.

MRZÓNCIE.

Dóma nierôz sôdywôlem
Na kamienny próg,
W sadze skoczcie grałë...
Jidze szary zmrok...

Czajączka sę pnie i włazy
Pod kasztanów dach,
Czôrnym ociem na dól wzerô,
Jakcie zlékły Strach.

Stary dąb sę rozepierô,
Co go sadzël stark —
I jak stolim w górę dwigô
Sękowaty kark.

Na procemko Lësy - Górë
Starô chujka spi —
Niepleka ta strachowitô
O Lelekach sni.

A tam od naszego Prôgna
Jidze koncert żab, —
Odprôwiają lëtaniją,
Jakcie karmno bab.

Rozposcerô srebną plachtę
Mniesádzowy wid —
Teskniączka tym traktem lecy,
Zapôliła sztryd.

Jak je casny, zagrodzony
Mego żëcu gón...
Chcôlbëm ucec, zaszamotac
Za ten wieldzi zwón...

Objaśnienia. Stark = dziadek — stolim = olbrzym mityczny —
chujka = sosna — niepleka = postać osobliwie ubrana — Lelek =
straszek w postaci ptaka — karmno = stado, gromada — Prôgno =
nazwa stawu — mniesádzowy = miesięcowy — sztryd = spór, roz-
terka — gón = szmat roli.

W BORACH POMORSKICH DZIŚ I DAWNIEJ.

Któż zbadał puszczy „pomorskich“ przepastne krainy,
Aż do samego środka, do jądra gęstwiny?

— Wieść tylko, albo bajka wie, co się w nich dzieje —

Tak pisał nasz wieszcz o puszczy litewskiej, lecz słowa jego możemy równie dobrze zastosować do puszczy pomorskiej.

Turystom, zwiedzającym królestwo sosny nad Brdą, Wdą i Mątawą, początkowo zdaje się, że bory Tucholskie są krainą monotonna. Czy tak jest rzeczywiście, gdy przyjrzą się im zbliska, gdy przewędrują bory i poznają ich serca tajemnice? Gdy staniami na skraju wyżyny w pobliżu Tucholi, pod Kiełpinem, Płaskoszem, Rudzkim Mostem lub Łyskowem, roztacza się przed nami ciemne morze leśne. Jak daleko oko sięga — niemal jednostajna, ciemna ściana lasów sosnowych. Prawdopodobnie już człowiekowi przedhistorycznemu tak samo przedstawiała się owa rozległa puszcza, także niejednemu księciu pomorskiemu, przybyłemu ze starego grodu raciańskiego z liczniejszym orszakiem, gdy urządzał łowy wielkie na grubego zwierza, nieinaczej niejednemu komturowi krzyżackiemu, wyruszającemu z warownej Tucholi na Litwę lub Kujawy. Królowa puszcza, choć skromniej ubrana niż przed wiekami, kryje pod swym płaszczem zielonym dziś, jak dawniej, przepiękne uroczyska, „małe jeziorka, trawą zarosłe napół, tak głębokie, że ludzie dna ich nie dośledzą (wielkie jest podobieństwo, że djabyły tam siedzą)“, szemrzące strumyki, zapomniane ubogie osiedla borowiackie z chatami drewnianymi z podcieniami, trzęsawiska, łąki i wrzosowiska, gniazda os, szerszeni, czapli, czarnych bocianów, roje ptaków i mnóstwo zwierzyny. Tu mieszka lud ubogi, twardy, silny, szczerze Polsce oddany; zżył się ze swym borem i od wieków go broni jak praojcowie, co zakładali grodziska obronne nad moczarami, i broniąc puszczy, ochronę w niej znaleźli przed odwiecznym wrogiem, Germaninem.

Wkroczmy do tej krainy, poznamy te bory i „ich wewnętrzne serca tajemnice“. Tu zapomnimy wielkie, huczące, rozświetnione miasto, zagłębiając się w zielony, pachnący żywicznym aromatem bór. Lecz całą pełnię piękna tej krainy poznamy tam, gdzie las przegląda się w czystym zwierciadle wód. Pełnię romantycznej poezji mają owe ciche jeziorka leśne, bystro płynące rzeki i szemrzące strumyki. Miejscami wydaje się nam, że bór wchodzi do wody, by jak wędrowiec po piaszczystej drodze ochłodzić się w zimnej toni. Nieustannie podmywając wysokie brzegi Brdy i Wdy, wartkie prądy wody ściągnęły synów puszczy w swe obję-

cia: prastare dęby, buki i sosny z koronami znikły w głębokiej toni. Zostali nieliczni ich wnukowie. Siedzimy zadumani pod zawisłymi nad wodą konarami starego dębu o dziwnych kształtach, jakby rozgniewana królowa puszcza karłów buntowników w nie zakłęła. Hołd należny oddawać nie chcieli swej pani, choć urok nadzwyczajny posiadać musiały jej błękitne oczy, jeziora, w których niebo się przegląda i przecudna szata we wszystkich odcieniach zieleni brzoź, grabów, buków, olsz i dębów, brekiń, wierzb, sosen, świerków, cisów i modrzewia. Niedosłyszalnym krokiem chodzi po miękkim mchu jak złote promienie słoneczne, wędrujące między sosnami. Stała przy srebrnych wodach, w których lustrze się podziwiała. Lecz wody przeczyste królową poznały. Ku tafli jezior, ku śpiewnym wodom gałęzie jak ramiona wyciągnięte spuszczają i biorą te wody w objęcia, i wody całują puszcę z rozkoszą, aż każdy listek drga, muśnięty wietrzykiem. Tak śni się nam bajka puszczy, tak widzimy ją w lustrze srebrzystem pod dębem nad Brdą...

Radośnie ruszają strumyki, mkną rzeki, śpiewają ptaszki, bawią się motyle, skaczą pstrągi, gdyż tu puszcza jeszcze żyje. Cofamy się po ścieżce w las, płosząc stadko saren na pobliskiej łące. Dochodzimy do szerokiej piaszczystej drogi. Las zmienia się w zagajnik gęsty, w którym skrył sięając tchórzliwie. Wreszcie las ustępuje miejsca szerokiej polanie. Woddali lśni w matowych kolorach zbliżającego się wieczoru obszerne jezioro w głębokiej dolinie. Z tej niezamąconej ciszy bije niewysłowiony czar. Podnosi się wietrzyk i tajemniczo szeleści trzcina nadbrzeżna. Sennie chwieją się śnieżno - białe grązele. Tęsknota budzi się ze snu i myśl nasza unosi się w minione wieki, jak oko nasze sięga hen poza ciemny fiolet lasu, który kres zamyka. Nad moczarami i łąkami wznosi się biała mgła. Matka przyroda ścieli swym dzieciom posłanie, jak matka w owej dalekiej chacie nad lasem, skąd małe światełko zabyło. Wtem płoszy myśl łoskot skrzydeł porwijącej się kaczki, gdy zbliżył się do brzegu rybak, zakładający sznury na węgorza.

Stajemy u kresu tego ustronia, na pożegnanie patrząc długo w ukochaną twarz matki - przyrody i jej córki, puszczy.. Jakże daleko przez niepomierny rozrost techniki nowoczesnej odsunęliśmy się od nich. Wracamy z boru, z zapachem żywicy niezliczonej ilości sosen, upojeni przepięknymi wrażeniami. W oddali niknie coraz bardziej ciemny kontur borów. Gęstnieje ciemność, a gwiazdy skrzę coraz jaśniej, wyraźniej. Byliśmy w puszczy, lecz do niej wrócimy, bo wrócić musimy w ten cichy kraj, by poznać głębiej jego duszę. Tylko jedna jest droga, by zgłębić jego serca tajemnice, to miłość do tej ziemi, do tego ludu ubożego, a mocnego i twardego, jak dęby i sosny owej puszczy.

Dawniejsza puszcza zginęła. Dla zapewnienia sobie

bytu człowiek walczyć musiał tysiące lat z mocarną przyrodą. Gdzie niegdyś szumiała puszcza, wyrastały wsie i miasta, wielkie pustkowia pokryły się łanami zbóż, przez grząskie bagniska wija się wstęgi dróg. Najpierw brano pod uprawę grunty łatwiej dostępne, niepokryte gęstym lasem, najpierw wydajniejsze, później też gorsze. Uprawiano ziemię, jak długo dawała plony, poczem pozostawiano ją odłogiem, a znowu inne kawały brano pod uprawę. Las karczowano, posługując się wypalaniem drzew (Wypalanki, pow. tucholski, Karczyna, pow. starogardzki, Karczany, pow. starogardzki, Opalenie, pow. świecki). Jednostkę gospodarczą stanowił obszar, mogący wyżywić rodzinę. Składał się z porozrzucanych, większych i mniejszych pól. Osiedla zakładano nad rzekami i jeziorami. Mieszkańcy ich trudnili się głównie rybołówstwem, polowaniem, hodowlą bydła i w małej mierze rolnictwem. Sposobu karczowania lasu pierwotnie nie znali nasi przodkowie, lecz poznali go za pośrednictwem klasztorów, które rozporządzały bardzo dobrze wyszkolonemi siłami roboczymi. Dokoła tych centrów kulturalnych wyrastały wioski, biorące drzewo budulcowe i opałowe z puszczy. Także dokoła grodów książęcych i wiosek biskupich karczowano lasy. Również budowa grodów krzyżackich, kościołów, młynów, mostów i zakładanie osiedli, miast i wsi na prawie chełmińskim, powodowało coraz większe spustoszenie, szczególnie w lasach liściastych i mieszanych. Obłupywano w upatrzonym miejscu drzewa z kory, a gdy te pozabawione pancerza schły, palono je i w ten sposób zyskiwano teren do uprawy. Łatwo wyobrazić sobie, ile w ten sposób powstało pożarów leśnych, które ugasiła wilgoć puszczy lub deszcze.

Dziś jeszcze świadczy 236 nazw miejscowości pomorskich o tem, że drzewa liściaste tworzyły ongiś na tym terenie rozległe puszcze, z tego przypada na dąb 47 nazw jak Dąbrowy i t. p., na lipę 41 nazw, na brzozę 28, na buk 23, na grab 22, na bory 32. Na zachowanie wiosek z budownictwem drewnianem złożyła się ta okoliczność, że właściciele gruntów wiejskich mieli prawo brać z okolicznych lasów fiskalnych każdą suszkę (usychające drzewo). „Zdarzało się więc, że taki gbur poczciwy, poszedłszy do boru szukać suszkę, wypatrzył sobie zupełnie zdrową sosnę, a pragnąc z niej zrobić suszkę, wywiercił dziurkę w pniu i nasypał weń soli. Przekonawszy się przedtem, że oko leśniczego nie widzi go, zażył tabaki i odszedł w milej nadziei, że za rok sosna będzie jego własnością i powędruje w ścianę jego domu lub stajni czy stodoły“. (Gryf, nr. 1,

Do niszczenia puszczy przyczyniali się w znacznym stopniu bartnicy, którzy w grubszych sosnach wycinali ule, ok. 5 m. nad ziemią w długości 1½ m. Następnie otwór ten zamykano deską. Od strony południowej wydrążano otwór dla pszczół, umieszczając następnie mniejszą deseczkę dla odlotu i lądowania pszczół, i ul był gotowy. W Borach Po-

morskich istniały barcie już w czasach przedhistorycznych. O rozmiarach bartnictwa świadczy m. in. fakt, że w roku 1772 w nadleśnictwie świeckim było 20.000 barci, w nadleśnictwie szluchowskim w roku 1785 jeszcze 821 barci używanych oraz 3.060 nieużywanych. Dochód z barci był znaczny. Wiemy, że komtur tucholski od bartników pobierał 904 korce owsa, 1.057 marek czynszu i znaczną ilość miodu, z czego odstawał do Malbarga 800 marek i 40 beczek miodu. Bartnicy powodowali częste pożary przy wypalaniu drzew w porze wiosennej, celem uzyskania większych obszarów wrzosowisk. Przez nieostrożne zakładanie ognia niszczyły wielkie obszary leśne. Z tego powodu rząd pruski w roku 1774 wypowiedział bartnikom dzierżawy. Sosny bartne wycięto. Pozostały tylko nieliczne okazy, jako pamiątki po nich, np. w nadleśnictwie Sarnia Góra (rew. Dębina, oddział 68), w nadleśnictwie Woziwoda (rew. Biała, oddział 129a) oraz w nadl. Trzeczpiny (rew. Zielona, oddział 61a).

Dla ilustracji tej gospodarki barciami podaje kilka szczegółów o starej barci Żółwiniec przy Tucholi, w której Andrzej Łukasiewicz płacił 20 monet pruskich dzierżawy rocznie, albo 20 poków miodu w dzień św. Marcina. List nadania podpisał starosta tucholski, Kazimierz Bieliński (1687 — 1702) w Gdańsku dn. 28. III. 1701 r. Zatwierdzenie i ponowienie nadania barci na „pokorną suplikę“ Łukasiewiczowi przez Augusta II w Warszawie (w dniu 15. IV. 1720 r.) oraz przez Augusta III (w dn. 22. X. 1762 r.) podług dokumentu, znajdującego się w zbiorach rękopisemnych P. T. N. w Toruniu. Od czasów krzyżackich bartnicy przeszali się w cechy, w których obowiązywały surowe prawa, m. in. prawo świeckie i tucholskie. Według art. 16 i 17 tego prawa postanowiono: „Kto swawolnie i pokryjomu cudze ule okrada, karany będzie szubienicą. Kto swoje lub cudze ule otwiera, oddany będzie katowi, aby mu przy zniszczonym ulu wnętrzości wydarł i go na owej barci powiesił“.

Innym powodem niszczenia puszczy były olbrzymie pożary, wywoływane niedbalstwem bartników, lekkomyślnością pastuchów, żołnierzy, myśliwych lub koczujących podróżnych i przestępców. Prusacy obwiniali nieraz Polaków o zakładanie pożarów w celach politycznych, w czasie powstań narodowych, strajku szkolnego i t. p. Niektóre pożary zniszczyły tysiące ha. lasu, np. w roku 1863 spaliło się 2.333 ha. Z innych przyczyn niszczenia puszczy wymieniam jeszcze: owady - szkodniki (sówka - chojnówka zniszczyła w latach 1922 — 1924 ok. 22.966 ha. lasu), następnie kopanie bursztynu, huty szklane i piece smolne, używanie podściółki leśnej, przedewszystkiem zaś rabunkową gospodarkę leśną (Kahlschlag).

Tę gospodarkę leśną autorowie niemieccy przypisują Polakom, w szczególności starostom pomorskim. W rzeczy-

wistości Krzyżacy rozpoczęli stosowanie rabunkowej gospodarki leśnej w lasach fiskalnych, a nawet prywatnych, np. w lasach toruńskich, kaszubskich i tucholskich. Zarzut wymieniony już z tego powodu staje się bezpodstawnym, że w czasie urzędowania dawniejszych starostów pomorskich nie rozporządzano odpowiednimi środkami komunikacyjnymi i drzewo stało bardzo nisko w cenie. Jedynie cis i kilka gatunków drzewa liściastego stanowiły wyjątek pod tym względem. Ścinano drzewo takie szczególnie nad Brdą i Wdą (Woziwoda nad Brdą wskazuje na miejsce rozpoczęcia spławu). Wiemy, że Polacy prowadzili wówczas gospodarkę przerębową, wycinając tylko najstarsze i najokazalsze jednostki. Ówczesne dokumenty wspominają o niektórych częściach Borów Pomorskich jako puszczach. Dopiero za czasów pruskich przystąpiono do bezwzględnej gospodarki rabunkowej. Na wielką skalę karczowano wówczas lasy bukowe, dębowe i sosnowe, aby spłacić długi wojenne po klęsce 1806 i 1807 roku. Dla lepszego spławu uregulowano rzeki, np. Prusinę w roku 1778. Z końcem czwartego dziesięciolecia XIX wieku zaprowadzili Prusacy wyrąb całych oddziałów (Kahlschlag). Gdzie dawniej szumiały pyszne lasy liściaste lub mieszane, powstały jednostajne drzewostany sosnowe. Jak obchodzono się z zabytkami przyrody, świadczyć może las cisowy w Wierzchlesie, pow. tucholski, który w roku 1826 obejmował blisko 80 ha, w roku 1920 zaś tylko około 20 ha. Miłośnik przyrody, Conwentz, uratował ten cenny zabytek przed zagładą.

Jeszcze za dni Krzywoustego Bory Pomorskie były nieomal jedną wielką puszcza leśną, tu i owdzie połyskującą płatami ziem uprawnych i zaludnionych, których najrozleglejsze pasy w samym środku (między Chojnicami i Tucholą) przeświecały, objęte dokoła czarnym, jednostajnym wieńcem leśnych puszcz. Człowiek zmienił nie tylko wygląd, ale niejednokrotnie nawet skład tych borów. Zaginął lub w nielicznych resztkach jako zabytek pozostały bereka (brekinia) i cis, „przeżyty epigon wielkiego niegdyś rodu, pamiątka owej zamierzchłej przeszłości, o której zostawił on po sobie nic tradycyj na ziemiach polskich“ (Kołodziejczyk). Ziemia, co drzewiej nie znała radła i lemieszka, szczególnie w Krajinie i na Kociewiu i w Kosznajderji, zmieniła się na urodzajne, złociste niwy owsa, pszenicy, jęczmienia i żyta. Znojny i twardy był trud ujarzmiania przez człowieka dziewiczej puszczy, a brzegi rzek i jezior stały się pierwszymi ogniskami zaludnienia, gdyż tam świeciły bezleśne polany, używane do wypasu bydła, lub namulonym czarnoziemem do uprawy łąkowe. Obszar Pomorza południowego pokrywał prawie jednostajny bór sosnowy, wyniosła, śmiało ku niebiosom strzelająca sosna. Obok król puszczy, dąb, rzadziej lipa, olcha, klon, jawor, wiąz, modrzew, brekinia, buk i cis, które w gęstym żyły

sąsiedztwie. Kiedy po kilku stuleciach walki o byt, starością już zniszczone i nieustannem napieraniem poszczególnych złych sąsiadów różnoplemieńców pokonany, olbrzym leśny powalił się na miękkie posłanie mchów, wrzosów i pierzastych paproci, to jeszcze chwila upadku była mu błogim tyłu krzywd odwetem, bo brzemieniem swoim dziesiątki słabszych wrogów przywalał i gałęzie ich druzgotał. I całe to sąsiedztwo, skłębione odnogami swych konarów, w śmiertelnym powalone uścisku, przez długie lata zamierało pod starych mchów powłoką, a zanim potężne pnie, w próchno rozsypane, złączyły się z ziemią, która je przed wiekami na świat wydała, oddawna już na wilgotnem cmentarzysku ich ciał, wiodły dzieci i wnuki dalszą walkę w następnych pokoleniach. Tak czas o dziewczość puszczy leśnych zazdrosny, w jej obronie obalaniem starych pniów przyrodzone rąbał zasięki, które tem większą nleulektemu śmiałkowi, wdzierającemu się w głąb puszczy, stawiały zaporę, dopóki ich wał spróchniały nie zapadł się w ziemię, ciężarem nowego pokolenia przygnieciony (Smolka).

W wielkich lasach, pod cieniem niebotycznych drzew, śniły błękitne powierzchnie wód, a beztrwożne ryby wesoło płały w toni, nim śmiercionośne doświadczenie strach i popłoch potomnym przekazało jako instynkt wrodzony. W strugach i potokach leśnych Brdy, Wdy i Maławy, szczególnie na nieprzemierzonych niecieczach i zasiąklach Noteci, gdzie drzewa z korzeniami wyrwane i wpoprzek strychu wodnego rzucone, stawiska wieczne i nieprzerwane tworzyły, towarzystwa bobrów budowały pracowicie swe wymyślne żeromiona. Człowiek podchodził, czaił się i podpatrywał ich pracę, ażeby je chwycić w żelaza i niewody. Był tam plamisty ostrowidz, ryś, przytulony do konara i upodobniły do pstrej kory drzewa, czyhał na wędrowne sarny i łanie jeleni, pielęgnujące swe małe. Ciszę głuchą tych łowów leśnych myśliwemu przerywało ciapanie odyńców, żrących żołędzie i brukiew w oparzeliskach i gozdach. Odważny łowiec ówczesny wdzierał się z towarzyszymi w najgłębsze mateczniki, gdzie w mroku leśnym śniły wody posepnych jezior wdzydzkich, sumińskich, kruszyńskich, cekcyńskich, charzykowskich i bukowieckich. Nad ich brzegami, wśród ostrowów i długich zalewisk, idących w głąb puszczy, w niskich zaroślach przebywały rogacze, oczekujące na stwardnienie wieńców, karmiąc się bukwią i żołędziami, wrzosem, mchem i zielenią pędów.

Zimową porą, w tęgie mrozy, gdy stada turów po czterdzieści i pięćdziesiąt w gromadzie wychodziły z mokradeł na miejsca suche i bardziej wyniosłe, ażeby szukać paszy pod śniegiem, wygryzać korzonki roślin, głodzić pakowie jesionów, korę i gałązki drzew liściastych, łowiec sunął zcicha na łyżwach z towarzyszymi wyprawy, aby urządzić wielkie łowy zimowe na tura.

Z CYKLU:

Z
NAD MORZA

I.

MORZE

Morze chłodną wodą piasek suchy liże
i podpełza falą bliżej, coraz bliżej...
Srebrnoskrzydłą pianą obryzguje piasek
„Patrzcie, podziwiajcie morską moją krasę!...”

Fala się przelewa — monotonna, modra
i coraz wystawia krągłe, lśniące biodra,
lśniące, gładkie grzbiety wystawia na pokaz —
srebrzysta, szumiąca, powolna, szeroka...

Morze cichą ręką złoty piasek gładzi,
jak dobry przyjaciel — pocieszy, poradzi...
Niby druh serdeczny — wysłucha, zrozumie...
Morze się przelewa w perlistym poszumie.

II.

KOCHAM CIĘ, MORZĘ

Kocham cię morze — nie za blask twej fali,
co się w szmaragdach i szafirach pali,
nie za srebrzyste piosnek twoich echa,
z których się spokój beztrósco uśmiecha.

Kocham cię, morze, za twą nieskończoność,
za to, że pełne tajemnic masz łono —
że myśl mknąć może bezkresnie po falach,
że się od brzegów codziennych oddala...

Swe uwielbienie przynoszę ci w dani
za to, że zdasz się, jak wieczność — bez granic...
Za to, że bliższa tej wieczności bożej
będąc przy tobie — tak cię kocham, morze!

III.

WIECZOREM

Morze cicho usypia, fale się kołyszą
spokojne i miarowe — zmierzch je ręką trąca.
Zwolna wschodzi nad wodą złoty sierp miesiąca —
fale śnią bezmiar — modrą otulone ciszą...

Przestrzeń wodna zmarszczona srebrzyście i lśniąca
wabi czarem tajemnic — głębie niemi dyszą...
Fale śnią bezmiar — modrą otulone ciszą,
nad wodą zwolna wschodzi złoty sierp miesiąca.

Z PRZESZŁOŚCI GDYNI Z PRZEDMIĘCIAMI

Jakieś dziwnie uchwytnie jest to nasze polskie morze, nie czuje się tu nigdy pustki wielkiej, nieskończonej przestrzeni, wszystko tu jest określone i takie bliskie. Jest ono jak czasza wycięta w olbrzymim bloku szafiru — czasza, której najcenniejszym klejnotem i najpiękniejszą ozdobą jest chluba odrodzonej Rzeczypospolitej, Gdynia.

Biały puch pian otula jej stopy, a rozkolebana zielona toń Bałtyku gra jej swą prawnieczną pieśń, która mówi nam o polskim sercu tej ziemi i o polskiej duszy jej twardego, zahartowanego w walce ludu, który stanął przeciw naporowi germańskiemu. Człowiek słucha..., pragnąc z poszumów dalekich wysłuchać świętą tajemnicę tej ongiś skromnej przymorskiej osady rybackiej.

Czyjeż to stopy najpierwsze deptały żółty piasek Kępy Oksywskiej? Czyjeż to ręce budowały tu pierwsze lepianki przed zimmem i deszczem? Jakaż to mowa rozlegała się nad szarą tonią Bałtyku? W pomroce wieków, w gestwach sprzecznych ze sobą przypuszczeń, giną niektóre odpowiedzi na powyższe pytania. Jedno atoli jest pewne: od najdawniejszych czasów była nad Bałtykiem Polska i będzie już po wieczne czasy.

Gdina pierwotnie się zwała i po raz pierwszy na widownię dziejową pod tą nazwą występuje w roku 1253 jako majątność panów na Rusocinie pod Gdańskiem. Od drugiej połowy 14-go wieku spotykamy stale w dokumentach niemieckich oo. kartuzów i Kartuz osadę pod nazwą **Gdingen**. Niczego to nie dowodzi, gdyż działalność oo. kartuzów na Kaszubach była nawskroś germanofilska wśród ludności pomorskiej, więc i prastara nazwa słowiańska **Gdina** ostać się nie mogła.

W roku 1362 Piotr z Rusocina stanowi Gdynię na prawie niemieckiem: sołtysi Matjasz i jego siostrzeniec Piotr otrzymują dla siebie 4 włóki wolne, oraz 3-ci grosz z wpływów sądowych, obowiązani zaś są występować zbrojno na koniu, ilekroć gotuje się wyprawa wojenna. Każda z pozostałych 30 włók ma opłacać 15 skojców i 2 kokosze, tudzież po skoju tytułem nadrożnego na wyprawę zbrojną dziedzica; prócz tego każdy z kmieci, łowiący w morzu wędką, winien dostarczyć na Wielkanoc pomuchłę (morska ryba jadalna). Dziedzic zachowuje sobie 6 włók pod Witominem (przyszłe miasto - ogród pod Gdynią), oraz prawo o-

sadzenia 4 ogrodników. Pod koniec tegoż stulecia chłopię gdyniecy uzyskują szersze prawo rybołówcze na morzu.

W roku 1380 Gdynia w drodze darowizny dziedzica Jana Rusocińskiego, syna Piotra, przechodzi na własność świeżo powstałego w Kartuzach zakonu oo. kartuzów. Z tą chwilą włościanie otrzymują za nieznaczną opłatą na rzecz klasztoru 10-włókowy przysiółek Grabówka (dziś pięknie zabudowana dzielnica Gdyni) i wspólną używalność 6-ciu włók pod Witominem, porośniętych przeważnie lasem i niezdatnych pod uprawę.

Pod koniec 18-go wieku oo. kartuzi przyznają wolność połowów na morzu właścicielowi sołectwa, wzamian jednak sprawować musi swój urząd bezpłatnie.

W roku 1772 Gdynia prócz sołectwa obejmowała 7 zabudowań gospodarskich i osadę karczemną, ogółem włók 20. Do wsi należał jeszcze wspomniany przysiółek Grabówka, obszaru 6 włók, przeważnie lasów i nieużytków. Mieszkańcy korzystali z prawa bezpłatnych połowów, obowiązani jednak byli oddawać do klasztoru w Kartuzach $\frac{1}{10}$ część połowu. Po ostatecznym rozbiórce Polski Gdynia przechodzi na rzecz skarbu pruskiego i staje się „wsią królewską o 21 dymach“, zarazem włączona zostaje do ekonomji Mosty. W początkach 19-go wieku na terenie, zwanym „Gdynie grądy“, powstał przysiółek Kamienna Góra.

Gdynia nigdy nie była terenem żadnych bitew, ani potyczek, mimo, że tędy przechodziły na wyprawy wojska książąt pomorskich: Bogusława, Sambora, Świętopelka, Mestwina i t. d., że Krzyżacy podchodzili tędy na zdobycie zamku puckiego w roku 1460, następnie gdańszczenie w roku 1462 i 1464, poczem ponownie w 1520 roku żołdacy krzyżaccy, którzy w dniu 10 grudnia wioskę splondrowali. W latach 1626 do 1627, oraz w 1650, 1655 i od 1703 do 1704 nie omięła Gdyni nawała szwedzka, dając się dotkliwie we znaki nielicznym mieszkańcom, szukającym schronienia aż w Gdańsku. W bitwie pod Oliwą dnia 26 listopada 1627 roku Gdynia była częściowo bazą operacyjną floty polskiej, pozostającej pod dowództwem Arendta Dickmanna. Flota polska odniosła wówczas nad flotą szwedzką, blokującą port gdański, wielkie zwycięstwo, zatapiając 11 okrętów.

W wojnach napoleońskich przeszły tędy niektóre oddziały, a później niedobitki wojsk francuskich i polskich, na co wskazują dokumenty kościelne w Oksywiu (dziś dzielnicy Gdyni i siedziby portu wojennego). W Oksywiu wspomina się, że Napoleon przejeżdżał przez ówczesną wioskę i odpoczywał pod starożytnym dębem, jaki się obecnie znajduje na środku jezdni, między portem a miastem, starannie chroniony jako zabytek przyrody. Ongiś nawet drzewo to nazywano „Dębem Napoleona“, lecz nazwa ta zczasem poszła w zapomnienie. Wspaniała ten zabytek przyrodniczy był przez długie lata uważany jako znak graniczny

między istniejącym powiatem puckim a wejherowskim. Dziś, kiedy powiaty te zlane są w jedną całość i tworzą powiat morski, tradycyjna nazwa drzewa powinna nanowo odżyć wśród mieszkańców obecnej Wielkiej Gdyni. W źródłach historycznych jednak niema żadnych wzmianek o pobycie Napoleona w Oksywiu, podanie więc jest wytworem fantazji ludowej. Niemniej jednak przypomnienie dawnej nazwy dębu powinno podanie to podtrzymać.

Położenie Gdyni na ustroniu wybrzeża było przyczyną, że rzadko tu w ciągu wieków zaglądały znakomitości. Kroniki jednak kościoła w Oliwie notują, że w roku 1390 przejeżdżał z Pucka przez Gdynię z okazałym orszakiem znakomity rycerz angielski, Derby, późniejszy Henryk IV. Rycerz ów ciągnął na wezwanie Krzyżaków do walki z „Saracenami Wschodu“, t. j. pogańską Litwą. Przebywał tu raz w latach między 1457 a 1460 wygnaniec - król szwedzki, Karol Knutson, który trzy lata zamieszkiwał w Pucku, trzymając gród ten w zastawie. W roku 1627 przejeżdżał tędy kasztelan krakowski, hetman wielki koronny, Stanisław Koniecpolski, który ciągnął na zdobycie Pucka z rąk Szwedów. Z królów polskich bawił w Oksywiu raz przejazdem Zygmunt III, który w drodze ze Szwecji w roku 1598 wylądował na przylądku Rozewskim, kilkakrotnie zaglądał tu Władysław IV oraz Jan III Sobieski i małżonka jego, Marysienka, która w pobliskich Kolibkach niejednokrotnie spędzała swe wywczasy nad morzem. Od roku 1920, z chwilą kiedy Gdynia siłą faktu wyrosła na pierwsze miasto wybrzeża, oprócz wielu dygnitarzy świeckich i duchownych, przebywali tu przejazdem obaj prezydenci Rzeczypospolitej i szereg wybitnych generałów. Co roku Gdynia obecnie jest zwiedzana przez liczne wycieczki z kraju, gdyż stała się ośrodkiem całego życia wybrzeża.

Pierwszy kościół w Gdyni wybudowany został w latach 1924 — 1927. Świątynia ta jednak okazała się niewystarczająca dla mieszkańców w niezwykle tempie rozrastającego się miasta i portu, to też z inicjatywy ks. biskupa Okoniewskiego powstanie w najbliższej przyszłości na Kamiennej Górze Bazylika Morska. Narazie w dzielnicy Grabówek utworzono nową parafję i wybudowano kościół w roku 1931. Do roku 1926 Gdynia jako parafja należała do kościoła w Oksywiu, który ufundowany został na krótko po zaprowadzeniu chrześcijaństwa przez książąt pomorskich i jest jedną z pierwszych i najstarszych świątyń na polskim wybrzeżu. Granice parafji ustalił osobiście w roku 1253 biskup kujawski, Wolimir, włączając w nią Gdynię, Witomino i Redłowo. Ten stan przetrwał aż do czasów dzisiejszych. Oksywie więc jest silnymi węzłami związane z Gdynią nie od dziś. Nazwa miejscowości jest pierwotną; dowodzą tego odmiany pisowni zachodzące od roku 1209 przez cały wiek 13-ty, aż do 16-go, mianowicie: Oxsuia, Oxiwe, Okcciuia, Oxiva, Oxivia i Oxiuia, w 16-tym

wieku spotykamy Oxiwa, Oxiew, Oxiwieja, od 17-go stulecia pisze się po polsku Oxiwie, względnie Oksywie, po niemiecku natomiast pisano Oxhoeft.

Z ważniejszych zdarzeń historycznych tej miejscowości zaznaczamy to, że Kępa Oksywska z osadą Oksywiem była oddzielona niegdyś wodą od lądu i była już w czasach przedhistorycznych gęsto zaludnioną, o czym świadczą liczne wykopaliska cmentarzy pogańskich. Kępę tę, przy której obecnie znajduje się siedziba portu wojennego, podarowała Zwinisława, żona Mestwina, księcia pomorskiego, w 1209 roku norbertankom w Żukowie, w obecnym powiecie kartuskim, natomiast książę Świętopełk przekazał większą jej część klasztorowi oliwskiemu aktem z dnia 23 kwietnia 1224 roku. Spór, jaki stał pomiędzy klasztorami powstał, zakończył się ugodą w 1281 roku i następną w roku 1316. Norbertanki zatrzymały Oksywie wraz z patronatem kościoła, reszta kępy przypadła oo. cystersom w Oliwie. Ten stan posiadania utrzymał się aż do sekularyzacji.

Trzecia dzielnica obecnej Gdyni to Chylonja, która w r. 1351 występuje pod nazwą Heinrichsdorf (parafję bowiem założyli tam Krzyżacy), w 1508 r. jako Chilona, w 1511 Chylowa, 1583 Chilonii, 1599 Chylony, wreszcie po niemiecku jako Kylau i Kilau występuje w 14-tym wieku. Nazwa teraźniejsza ustaliła się w 1600 r. W r. 1930-tym Chylonja włączona została do Gdyni. Dla wszystkich wymienionych miejscowości, tworzących dziś Wielką Gdynię, prawdziwie epokowym zdarzeniem było zapoczątkowanie w roku 1922 budowy portu handlowego i wojennego; poświęcenia pierwszych pali, wbitych pod przyszły port wojenny, dokonał w roku 1922 ksiądz kapelan marynarki wojennej, Władysław Miegoń.

I jak ongiś za Krzywoustego wypłynął lennik polski, Ratiborus, w pięćset deneg i statków zbrojnych na Bałtyk, aby potęgę Polski Piastowskiej ukazywać światu ówczesnemu, tak i dziś, jeno w odmienny sposób, ukazuje Polska moc swoją i prawo swoje do Bałtyku. Pierwszy port odrodzonej Rzeczypospolitej istnieje, dowodząc, że sprawiedliwość dziejowa jest nieubłagana.

Literatura: Ks. Stan. Kujot, Kto założył parafje w dzisiejszej diecezji chełmińskiej, część I i II; Ks. St. Kujot, Dzieje Prus Królewskich, Roczniki Tow. Naukowego w Toruniu; Schultz Franz dr. Geschichte der Kreise Neustadt und Putzig; K. Kwiatkowski, Dzieje narodu polskiego za panowania Władysława IV, Warszawa 1823; Świerkosz Alfred: Z wybrzeża polskiego: Puck; Śląski B., Materiały i przyczynki do dziejów nadmorskiego miasta Pucka oraz dawnej ziemi puckiej; Alfred Świerkosz, Napoleon na Kaszubach i Pomorzu; Zeitschrift des historischen Vereins für den Regierungsbezirk Marienwerder, Kwidzyn 1884; Fankidejski ks. Utracone kościoły i kaplice w dzisiejszej diecezji chełmińskiej; Fankidejski ks. Klasztory żeńskie; Sontag P. dr. Geologie von Westpreussen, Berlin 1919; Diecezja chełmińska, zarys historyczno - statystyczny, Pelplin 1928; Arch. gdańskie 8. 12. Heise, Kunstdenkm. I. 50 — 53. 72.

MALARZ MORZA

MONOGRAFJA O MARJANIE MOKWIE

Z wioski Górki, opodal Wiela, w powiecie chojnickim biegnie popod żółcącemi się polami łubinu ścieżka piaszczysta, pnie się na pagórki, chude w plon i ubożuchne, dopada sosnowego lasu, z którego w lipcowy upalny dzień z rozwianym woalem woni żywica wybiega na spotkanie samotnego wędrowca, a w którego cichych mchach często - gęsto wyzierają jędrne główki brązowe połyskliwych prawdziwków, kulistych, foremnych, zdrowych. Na pół drogi ustępują sosny miejsca chrząszczącym pod stopą wrzosiwiskom, by za nimi znowu zasłonić horyzont zwartą wysokopienną kulisą. Aż wreszcie jak nożem ucina się las i niespodziewanie ukazuje się potężna woda: jezioro Wdzyzkie.

Tą ścieżyną, za młodych lat, kiedy jeszcze nie był sobie świadom swego malarskiego powołania, mierzył Marjan Mokwa z rodzinnej wioski kaszubskiej, utrudzonym w piaskach krokiem, drogę nad wodę, która nęciła go grą plenerowego kolorytu, nie wiedząc jeszcze, że w dalszych kartach jego żywota wypisało mu przeznaczenie stać się bardem, bajardem i wajdelotą wielkiej wody, morza.

Tu, nad Wdzydzkiem jeziorem, w tym niejako miniaturowym, dostojnie kameralnym układzie wodnego kolorytu przygotować miał się talent jego do późniejszych zadań, wielkich, symfonicznych, morzu dedykowanych.

Jak samotny pastuszek, nieświadom swych talentów, smutnie wygrywa melodje na fujarce, raczej z potrzeby serca, aniżeli z woli, która w późniejszym dopiero wieku wykwita nieraz pąkiem twórczości, czyniąc zeń artystę - muzyka, tak samotnika Mokwę wzrokowe biesiady kolorystycznej podniety wodnego żywiołu natchnęły malarską wolą, mającą później wyrósć w kwiat barwny i wonny.

Tam więc, rzec można, wyniósł on tę pierwszą iskrę, która miała w nim później rozpać pożar twórczy, który jak wielką pochodnię zapalił jego paletę potężną łuną kolorów.

Uniesiony niezaspokojonem pragnieniem twórczem, poszedł w świat. Akademyje w Norymberdze, Berlinie, Monachjum dać mu miały abecadło techniki malarskiej i nauczyć go tej arcyprawdy życiowej, że bez pracy niema kołaczy. Tu gwał, naginał i łamał przekorność i opór przed metodą, której przeciwstawia się, jak w przyrodzie, każda indywidualność, zbyt pośpiesznie skora do samodzielności.

Ćwiczył wzrok i rękę. Zaczem ruszył w podróże przez lądy i morza. Od północy: fjordów Szwecji, Rosji do ciepłych, słońcem rozśpiewanych Włoch południa poszedł na poszukiwanie prawdy malarskiej, skąd gromadził szkice i doświadczenie. Na Bałkanach, w czasie wojny bałkańskiej, zaprawiał technikę w rysunku i kolorystyce. Nienasycony pragnieniem coraz to głębszego opanowania sztuki malarskiego odbył podróże po Węgrzech, Turcji, Persji, Azji Mniejszej i Egipcie, wynosząc z tych wędrówek bezcenne skarby doświadczenia i niejedno cenne płótno olejne oraz liczne kartony akwarelowe. I aczkolwiek w twórczości tej pejzaż, kompozycje figuralne oraz portret licznie były reprezentowane, z wolna wybijał się w twórczości Marjana Mokwy jego właściwy nerw: marynistyka. Od roku 1912 w pierwszych wyraźnych akordach, a od 1919 roku, z chwilą, gdy osiadł nad polskim morzem, w pełnej sile wyrazu i kolorystycznego głosu zagrało ono na jego płótnach. Marjan Mokwa stał się niepodzielnie polskim marynistą. Wyczuł bowiem, że talent jego na tę największą i najzawilszą zagadkę malarską jest najzawzięciej nastawiony. Zwyciężył w nim jego przekorny kaszubski charakter, żeby się wziąć za bary z tematem malarskim, który już niejednego śmiałka cisnął o skałę zagłady. Temat bowiem godny tylko malarskich Lindbergów. W morzu kryje się nie tylko wszechtajemnica żywiołu, wszechpotęga mocy, ale wszechbarwa kolorytu z aureolą odbłasków nieba w taką płynność rozlana, że trzeba nie lada oka rybitwy, by uchwycić malarsko atomy tych nad niem barwnie odprawiających się nabożeństw tonów i światła.

Kto godzinami wysiadywał kiedykolwiek na Kamiennej Górze pod Gdynią, w Orłowie, w Jastarni, na Jastrzębiej Górze — nad Małym lub Wielkim Morzem — zapatrzoną w tę wiecznie ruchliwą dal, i obserwował uważnie, jakie niezwykle widowisko kolorystyczne przewija się na ekranie morza i nieboskłonu, ten spostrzeżał, że z każdą nieomal sekundą zmienia się koloryt i układ barw, jak gdyby z niewidzialnych reflektorów padały na tło bezustannie zmieniające się efekty świetlne. W tym korowodzie barw i odbłasków, ruchu i refleksów pendzel Marjana Mokwy wydaje się — patrząc na jego morskie akwarele — być wodzirejem. Tak je bowiem zna, tak się wyznaje w płaszcach morskiego kolorystycznego kotyljonu, że nie sposób sobie wyobrazić, iżby mógł poddać im niewłaściwą, nienaturalną barwę.

W tem jest jego bezcenna zaleta jako marynisty. Jego morze żyje, mówi, szumi, huczy: czy z rannych wstające oparów, jakby półsennie, leniwe, ledwo zmarszczone; czy w dzień chmur ołowiem brzemienne, nasrożone, zbałwanione, z gniewnymi grzywami, rozwianymi w wietrze, jak rozhukane stado stepowych koni, pędzących na złamanie karku; czy pod wieczór ciche, w dostojnych fioletach wtu-

lone, jakby razem z rybkami z Helu cichy „Anioł Pański“ odmawiające; czy po zachodzie słońca, pod noc, tajemnicze, ciemne, atramentowe, jakby niesamowite, opowiadające opowieści o samotnych, blakających się po oceanach statkach. Wszystkie fazy życia morza, wszystkie jego chwile mozolnej pracowitej doby zna Marjan Mokwa, jak siebie. Każdy jego szept, niekażdemu zrozumiały, wypisać umie pendzlem na karnetach jego żywota. Podwójnie dla nas przeto cennym winien być Mokwa, bo nas zbliża do naszego mocarstwowego przyjaciela — morza, uczy nas patrzeć weń wnikliwiej i cenić jego piękno, uwielbiać jego potęgę, a poza tem czytać tę zawilą księgę jego przyrodniczej zagadki.

Niezliczonych płócien i kartonów panorama morska Marjana Mokwy daje w galerji naszych sztuk pięknych bajecznie harmonijną kopułę polskiej twórczości malarskiej, jest bowiem tem największem odbiciem polskiej odrodzonej państwowości.

Żadne wykresy architektoniczne, żadne mapy plastyczne naszych z dnia na dzień tężejących portów gdyńskich nie są w stanie unaocznic nasz wieczysty z morzem sojusz tak dobitnie, jak to czynią te nieprzebrane obrazy Mokwy, te szkicowo rzucone akwarele, w setki już wkraczające, które śmiałym rysunkiem i plastycznie podłożoną akwarelą bogaty stanowią zbiór naszego z morzem wieczystego ślubu.

Każdy fragment życia morskiego ma w obrazach Mokwy złotą literę swego istnienia wypisaną niezawodnie i wiernie ręką Mokwy.

Czy fragment łamacza fal, chroniącego molo węglowe, czy kuter rybacki na pełnem morzu, zmagający się z żywiołem, czy urywek księżycowej nocy nad tajemniczą roztoczą morską, czy szereg migawek z pod Orłowa, bark samotnych nadbrzeżnych, cichych poranków, szarych i głuchych pozmierzchowych chwil, czy cały niezliczony szereg najnieoczekiwanej przychwyconych in flagranti zjaw morskiego wyrazu, czy też niezliczone wielbłądy pustyni wodnej przy molach zakotwiczone, oddychające ostatkiem wygasających kotłów, lub te żaglowce, potężne, z poplątaną siecią lin i linek, zwisających z olbrzymich masztów, odcinające się kolorystycznie jaskrawą barwą kadłubów od dalekiego kontrastowego tła, wszystko to zabiera na obrazy swe Mokwa z taką prawdą życiową, jakby to żywcem przeniósł w ramy.

Nic więc dziwnego, że narody o starej tradycji morskiej cenią Mokwę jako marynistę. Imię jego w Anglii, Szwecji i Niemczech ma swoje poczesne w marynistryce miejsce.

Nas obrazy jego niechaj uczą nietylko o znaczeniu morza dla państwa, ale i o jego niezbadanem, niezgłębnem i niedocenionem pięknie.

PIEŚŃ ŻEGLARZA

PORÓWNANIE KASZUBSKICH I POLSKICH PIOSENEK LUDOWYCH

W 1908 roku, w którym, z powodu choroby zmuszony byłem wziąć dłuższy urlop, poświęciłem się studjom niemieckich piosenek ludowych, przyczem równocześnie zwrócono mi uwagę na rodzaj piosenki ludowej moich stron rodzinnych — Kaszub. Zacząłem u starych ludzi, którzy tylko po kaszubsku rozmawiali, a języka polskiego nie znali, ani w mowie, ani w piśmie, dowiadywać się o stare piosenki kaszubskie i od nich właśnie usłyszałem moc takich z dzieciennych lat owych staruszków. — Szczególnie pewna stara 70-letnia kobieta, skromna i uboga, nie umiejąca ani mówić, ani pisać po polsku, tylko po kaszubsku, nauczyła mnie różnych takich piosenek, gdyż kiedyś miała dobry wcale głos, a wówczas jeszcze nadzwyczajną pamięć. Nazywała się Franciszka Dettlaff, a w dawniejszych czasach była kucharką weselną i krawcową. Wszystkie piosenki znane jej były z dzieciennych lat i podczas gdy trząsał ogień w kominie i kołowrotek szemał, monotonnie się obracając, śpiewała sobie najróżniejsze piosenki. Śpiewała dlatego, gdyż w śpiewie tekst łatwiej się przypominał. Tak podczas jednej zimy spisałem 200 piosenek kaszubskich i 250 zwrotek do tańca, tak zwane „przyśpiewki do tańca“ — Wówczas jeszcze nie znałem języka polskiego, a gdy się go później nauczyłem, zajmowałem się polskimi ludowymi piosenkami, ażeby ustalić stosunek polskiej piosenki ludowej do kaszubskiej. Tym studjom poświęciłem dosyć dużo czasu i pracy. Z braku miejsca chcę dziś tylko wykazać stosunek „Pieśni żeglarza“ („Od Naszego Morza“ Nr. 16. 1930 r.) do analogicznej piosenki polskiej.

Piosnkę tę wiernie podał Zygmunt Gloger w „Pieśniach dawnych“ — Warszawa 1905, str. 20, nr. 24, ja natomiast kładę obok analogiczne zwrotki tej samej piosenki kaszubskiej.

Zygmunt Gloger.

Pieśni dawne.

Służył Jasio u pana
Za starszego dworzana.
I wysłużył Kasieńkę,
W siódmym roku dzie-
weńkę.
Król na wojnę rozkazał,
Jasio w drogę pojechał.
Jaś na wojnie wojuje,
Kasia w domu choruje.
Już siódmy roczek idzie,
Jasio z wojenki jedzie.
I wyjechał na drogę,
Złamał koniczek nogę.

Od naszego morza

rok 1930 nr. 16.

Oj żeglarze, żegłaj że,
Całą nockę po morze!
Jakże jo mom żegłowac,
Cze nadchodzi czemno
noc?
Zapol swjeczkę albo dwje,
Przejechoj że tu do mje.